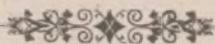


1 no

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Józef Szujski.

JOZEF SZUJSKI.

W późniejszym życiu dopiero, młodzi czytelnicy, potraficie zrozumieć i ocenić wielkie załugi znakomitego męża, którego wizerunek wam dziś podajemy. Józef Szujski był dziejopisem, a najcenniejsze jego prace, które mu wiekopomną zjednały sławę, są to: *Dzieje polski podług ostatnich badań* i znacznie później wydana: *Historja polska w XII księgach*.

Śmierć zawczasie przerwała pasmo pracowitego i pożytecznego jego żywota, miał bowiem dopiero 47 lat. Urodził się w r. 1835 w Tarnowie, gdzie też początkowe nauki gimnazyalne odbywał, klasę siódmą i ósmą przechodził w Krakowie i wstąpił tamże do uniwersytetu Jagiellońskiego. Następnie w Wiedniu uzupełnił studia uniwersyteckie, a powróciwszy do kraju, jakiś czas mieszkał w dziedzicznej swj wiosce Kurdwanowie, pod Krakowem. W r. 1868 obrany był posłem na sejm krajowy, w rok później objął w uniwersytecie Jagiellońskim katedrę historii powszechnej, a następnie polskiej. W r. 1871, po założeniu Akademii Umiejętności w Krakowie, Szujski mianowany był sekretarzem jej generalnym i obowiązek ten aż do ostatniej swj choroby chlubnie i gorliwie spełniał. W r. 1879 wyniesiony był na redaktora Uniwersytetu.

W młodości swj Szujski pisywał poezye i dramata, którym niepospolite przyznawano zalety, ale i w tych utworach przebiegało już zamięłowanie do historycznych badań, wszystkie prawie były osnute na tle historii krajowej, jako to: *Samuel Zborowski*, *Halszka z Ostroga*, *Jadwiga*, *Jerzy Lubomirski* i inne. Wysoko są także cenione przekłady z poezyj klasycznych, tak starożytnych, greckich, jak i późniejszych, dokonane przez Szujskiego w różnych czasach. Pisywał też i powieści do pism peryodycznych, ale później poświęcił się wyłącznie poważnym pracom naukowym.

Pisanie historii nie polega jedynie na zbieraniu faktów i dat, na opisywaniu wypadków i wylizaniu nazwisk panujących lub sławnych ludzi; badania te mają jeszcze inne, ważniejsze zadanie: przeszłość powinna służyć za naukę i przykład zbawienny dla następnych pokoleń. Obowiązkiem jest każdego poznać dokładnie, i cnoty, i błędy swoich przodków, ażeby pierwsze naśladować, drugich się wystrzegać. Otóż ś. p. Józef Szujski wziął sobie za główne zadanie odsłonić rodakom całą prawdę w dziejach przeszłości, nie zważając na to, że prawda ta nieraz gorzką być musiała. Czynił to jednak z wielką miłością i słusznie zastosowano

do niego słowa, wyrzeczone niegdyś o innym znakomitym dziejopisie polskim, Janie Długoszu: „Nie żałował siebie, aby powiedzieć prawdę tym, których kochał“.

Jeszcze współcześni nie mieli czasu określić i ocenić należycie wielkich zasług Szujskiego, lecz głos powszechny stawia go bardzo wysoko, a rodacy pragną zwłoki jego, tymczasowo w grobie rodzinnym złożone, przenieść do kościoła na Skałce i złożyć w grobie zasłużonych mężów, gdzie stoi trumna Długosza.

Józef Szujski uczynił więcej, niż zwykły historyk, nie tylko bowiem badał przeszłość i w świetle prawdziwem przedstawiał dzieje minione, lecz wskazywał rodakom drogę, jaką obecnie postępować mają, aby choć w części naprawić zdołali zgubne skutki błędów dawniejszych i zgotować przyszłość szczęśliwą następcom swoim. Nie wszyscy zrozumieli myśl jego, miał też przeciwników, którzy fałszywie tłómaczyli najczystsze jego zamiary; ale na grobie zasłużonego męża przemówiło sumienie narodu, a hold, oddany mu w czasie pogrzebu, świadczy najlepiej, jak powszechne zjednał sobie uwielbienie. Zasłużył on na to, nie tylko nauką niepospolitą, lecz i najzacniejszym charakterem. Głęboko religijny, żył i umierał jak najlepszy chrześcijanin, przed śmiercią powtarzał często spowiedź, a gdy czuł zbliżające się chwile ostatnie, kazał przywołać kapłana, aby mu przy skonaniu udzielił pociechy religijnej i ostatnie modlitwy z nim odmawiał.

— Poddaję się woli Boga — mówił na krótki czas przed śmiercią — znoszę wszystko, tylko widok dzieci serce mi rozdziera... — Na trzy godziny przed skonaniem uczuł wielką ulgę, zdało mu się, że jest lepiej i wyrzekł znowu: — Bogu dzięki, czuję się lepiej, jeszcze lat kilka będę mógł pracować dla dzieci i kraju!

Ostatnie to były jego słowa, nastąpiła senność, a potem sen wieczny... śmierć sprawiedliwego. Ułoża, obok kochającej rodziny, stał najbliższy i najwierniejszy przyjaciel zmarłego, profesor Stanisław Tarnowski, znany w Warszawie z pięknych odczytów publicznych na dobroczynne cele.

Te słowa ostatnie, wymówione przez Szujskiego w przedśmiertnej godzinie, najlepiej dają poznać dążności całego jego życia: miłość kraju i miłość dzieci, oto były uczucia, które serce jego wypełniały i kierowały jego pracą. Ci, którzy widywali Szujskiego w gronie rodziny, opowiadają, iż był nie tylko dobrym, lecz niezmiernie czułym i troskliwym ojcem. Na przechadzkach sam zwykle za rączkę prowadził ukochane dzieci, otulał je od zimna, pielęgnował, z największym upodobaniem słuchał ich szczebiotu i zabawy ich podzielał.

Lubił też dzieci w ogóle i nieraz spotkawszy obce, zatrzymywał się przy nich, rozmawiał z niemi, przestrzegał, ażeby się nie zaziębiły.

Gdy rozniosła się po Krakowie wieść smutna o śmierci Szujskiego, miasto całe pokryło się żałobą. Na gmachach Uniwersytetu i Akademii Umiejętności, na Ratuszu, powiewały czarne chorągwie, a telegram doniósł, iż sztandar podobny zatknięty był także na Pałacu Sejmowym we Lwowie. W dzień pogrzebu tłumy zaległy ulicę Krupniczą, z kąd miał wyjść kondukt żałobny. W pokoju kimrem obitym spoczywały zwłoki. Wątle i wyędmniane ciało przybrane było w ubiór profesorski, togę i biret, ręce woskowej białości trzymały krzyż, godło wiary, które przez całe życie przyświecało chrześcijańskiemu pracownikowi. Kilkadziesiąt wieńców, nadesłanych przez miasta, instytucje, ciała naukowe, redakcje pism, piętrzyły się u stóp jego i wonią, napępniały powietrze. Trumnę otaczały dokoła krzewy cieplarniane kwitnące, w głowach stał ołtarz, przy którym odprawiały się Msze Ś-te żałobne. Młodzież akademicka przy zwłokach ukochanego i czczonego mistrza pełniła straż honorową.

W mieszkaniu przy trumnie przemówił sędziwy prezes Akademii Umiejętności, Majer, drżącym od wzruszenia głosem pożegnał towarzysza pracy. Gdy skończył, nastąpiła chwilowa cisza, przerwał ją głośny płacz córeczki Szujskiego, która nie mogła żalu swego opanować. Studenci uniwersytetu zanieśli trumnę na ramionach, orszak był tak liczny i wspaniały, jakiego oddawna nie widział stary gród Krakusa. Na czele siedł oddział straży ogniowej ze swym dowódcą, za nim postępowała muzyka miejska. Dźwięki pogrzebowego marsza Beethovena nie dolatywały uszu idących za trumną, tak niezmiernie długi był orszak, który ją poprzedzał. Szli tam bowiem wszyscy uczniowie szkół niższych i średnich ze swoimi profesorami, niosąc wieńce, potem postępowało liczne duchowieństwo świeckie i zakonne, ks. biskup Dunajewski prowadził kondukt w asystencji biskupa Janiszewskiego, członków kapituły krakowskiej i wielu kapłanów, przybyłych z najodleglejszych stron na ten smutny obrzęd.

Chorągwie cechowe i berła akademickie, powleczone krepą, otaczały trumnę, niesioną na barkach młodzieży, przed nią kroczył jeden z uniwersyteckich studentów, trzymający na ciemnej aksamitnej poduszce wieniec srebrny, ofiarowany Szujskiemu jako dowód czci i miłości przez jego uczniów przed trzema laty. Sznury całunu trzymali w rękach: marszałek krajowy Zyblikiewicz, prezes Akademii Umiejętności Majer, prezydent miasta Wejgel, profesor uniwersytetu lwowskiego

Dr. Piętak, reprezentant koła polskiego w radzie państwa p. Leon Chrzanowski i rektor wszechnicy krakowskiej ks. Pelczar.

Za trumną postępowały wszystkie znakomitości naukowe, literackie i artystyczne, a potem tłumy złożone z kilkunastu tysięcy ludzi. Dzień był mroźny, jasny, chociaż bez słońca. Odgłos dzwonów wszystkich kościołów krakowskich rozlegał się w powietrzu, a stary Zygmunt odzywał się z katedralnej wieży zamkowej i górował nad innymi ponurym swym, donośnym dźwiękiem.

Na cmentarzu przemówił profesor Stanisław Tarnowski, wymownemi słowy głosząc zasługi zmarłego, potem mówił profesor uniwersytetu lwowskiego i jeden ze studentów krakowskich. Trumnę złożono w tymczasowym grobie, po dopełnieniu obrzędu, tłumy o zmroku powracały do miasta.

Dnia następnego uroczyste nabożeństwo urządzone było w obszernym kościele Ś-jej Anny, staraniem profesorów Wszechnicy Jagiellońskiej. Celebrował ks. biskup Dunajewski, mowę wypowiedział ks. Pelczar. I u nas w Warszawie w kościele Ś-go Krzyża odprawione było solenne nabożeństwo żałobne za duszę ś. p. Józefa Szujskiego. Cześć jego pamięci!

DĘBY I BRZOZA.

Na stromiej górze sterczą zwaliska,
Naksztalt samotnych przeszłości bram,
A stare dęby w gruzach zamczyska,
Stoją na czatach i tu i tam.

Samotna brzoza, smętna, jedyna,
Ocienia głuchy, zamkowy próg;
Miłość przeszłości nam przypomina,
Którą na gruzach zaszczerpił Bóg.

Osamotniona wieżyca szara,
Pochmurno patrzy na Boży świat;
Bo ona wieków pamięcią stara,
Skrzywdzona ręką ludów i lat.

Na rozrzucone w dolinie chatki,
Szkielet zamczyska spogląda z gór;
Tam wszystko młode: ludzie i kwiatki,
Tam zawsze młody zielony bór.

A młode życie ze starca sztydzi,
I zimno mierząc wiekową pleśń,
Bezładne stopy gładów w nim widzi,
Nim go ożywi przeszłości pieśń.

I słońce w swojej promienną chwale,
Niby szyderczo śmieje się doń,
Gdy bluszczy zielony, pnąc się po skale,
Wieńczy prastarą zamczyska skroń.

Ale tam stały stróże przeszłości,
 Dęby, co w wieków kąpią się mgłę;
 Tam stała brzoza, symbol miłości,
 Na dawnych ruin powiewna tle.
 Patrz! chmurka bieży w niebios błękiecie,
 Niby żałobny przemyka cień;
 Niby ta młodość, niby to życie,
 Co we łzach wita promienny dzień.
 Nagle wyrasta ona w olbrzyma,
 Nagle zakrywa światłości tron;
 Skoro swój czarny rydwan zatrzyma,
 Natychmiast burzy ozwie się dzwon.
 Coraz to więcej skrzydła rozszerza,
 Coraz ciemniejszy przywdziewa strój;
 Zwolna ku gruzom zamczyska zmierza,
 I na dolinę rzuca cień swój.
 Gdzie się przesunie czarnym obłokiem,
 Liście drzew smętném uczuciem drżą;
 Ten tylko cieszy się jój widokiem,
 Czyjego życia burza jest grą.
 Pierwszy grom hasłem uderzył boju,
 Nad zwaliskami, nad grzbieciem gór,
 Co sterczą groźnie w burzy zawoju,
 W ognistych wstęgach całunu chmur.
 Szumią już dęby odwieczną pieśnią,
 Im wtórzy gromu przeciągły ton;
 W tych pieśniach mary wieków się prześnią,
 W tym gromie jęczy przeszłości dzwon.
 A szkielet zamku kilko-wiekowy,
 Szary, jak wspomnień odległych świat,
 Dziwnie spotężniał piorunu słowy,
 Groźnie wyglądał z tych chmurnych szat.
 Bo postać wielkich dni tajemnicza,
 Kiedy wystaje z przeszłości mórz,
 Zawsze ma groźny widok oblicza,
 Co ciska gromem i ogniem burz,
 Biada wam dęby, stróże zamczyska,
 Ostatni wasz już nuciecie śpiew;
 Chwila waszego skonu jest bliska,
 Bo wielkość zawsze wywoła gniew.
 Piorun najczęściej w gmachy uderza,
 Lub bije w dębów wyniosłą skroń;
 Celem pocisków jego jest wieża,
 W olbrzymów mierzy potężna broń.
 Co to za łoskot? co to za strzały?...
 Słuchaj! to groźnych żywiołów ślub:
 Gromy z wiatrami się pojednały,
 Żeby dla sławy wykopać grób.
 Padają dęby, losu igrzyska,
 Rozrywa pierś ich piorunu broń;
 Runęły dęby, stróże zamczyska,
 Całuje ziemię dzielna ich skroń.

Została tylko brzoza płacząca,
 Co zawsze w łzawej miłości trwa;
 Co płacze w burzy, płacze do słońca,
 Smętna jak miłość, cicha jak łza.
 Ona z tych gruzów czerpiąc swe życie,
 Nad niemi warkocz rozwija swój,
 I kocha przeszłość silnie, choć skrycie,
 Bolśnych wspomnień wylewa źródło.
 Choć nieraz nad nią szalone burze
 Wiodły z dębami straszliwy bój,
 Ona spokojna, jak gdyby w chmurze,
 Przeczula tęczy uroczy zwój.
 Bo miłość, bracia, jako śmierć mocna,
 Ona przebędzie dni ciężkich prób,
 Ona zaświeci, jak gwiazda nocna:
 W dniu zmartwychwstania otworzy grób.

Wł. Chomętowski.

SŁOŃCE,

POGADANKA NAUKOWA.

— Patrzo, patrz, Leonku — mówiła Antosia — jak słońce ślicznie przez chmurkę przegląda, jakby przez muślinową zasłonę. Teraz przynajmniej przymrużonemi oczyma spojrzeć na nie można, nie razi tak okropnie, jak zwykle. Mój Boże! jakbym ja chciała wiedzieć, co tam za ogień straszliwy pali się na słońcu, że tak jasno świeci, tak grzeje, a nigdy się nie wypali i nie zgaśnie. O, bo ja wiem przecież, że słońce nie gaśnie w nocy, tylko idzie świecić Amerykanom na drugiej półkuli.

— Oho! jaka uczona siostrunia — odezwał się Leonek z przekąsem — wszystko wie i umie.

— Bał widzisz, że nie wszystko, bo właśnie nie wiem, co to tam się pali na słońcu.

— No, to jeszcze widzę jesteś niedouczona — rzekł znów żartobliwie braciszek.

— A ty to pewnie musisz wiedzieć — powiedziała Antosia, uśmiechając się figlarnie — wy przecież tam w szkołach wszystkiego się uczycie, a w czwartej klasie, ho, ho! co tam za mądrości! Powiedz no, powiedz, panie czwartoklasisto, co tam się pali na słońcu.

— Paradna sobie ta Antosia — rzekł Leonek wzruszając ramionami — ja mam wiedzieć, co tam jest na słońcu. A któż to wiedzieć może? Ty nawet wyobrażenia o tém nie masz, jak ono jest straszliwie oddalone od ziemi. Pomyśl tylko, jakim to gwałtownym pędem leci kula armatnia. Otóż, gdyby taką kulę można było wysłać do słoń-

ca, leciałaby przez lat dziesięć. Pociąg pośpieszny zdążyłby tam zaledwie za 200 lat.

— Ach, mój Boże! — wołała Antosia, zakrywając sobie oczy — jakże to okropnie daleko. Ale już ja coś o tém słyszałam, bo to podobno z powodu swęj wielkiey odległości słońce wydaje się nam takie małe, choć rzeczywiście daleko jest większe od ziemi.

— Średnica słońca jest przeszło sto razy większa od średnicy ziemi — mówił znów Leonek — na jedną taką olbrzymią kulę, jak słońce, trzeba by zlepić milion kilkaset kul takich, jak nasza ziemia.

— Oj, oj, oj! — wołała Antosia i chwyciła się za głowę — toż kulka, nie na żarty! Ale widzę, mój braciszku drogi, że ty naprawdę jesteś uczony; tyle rzeczy wiesz o słońcu.

— Ale nie mogę przecież wiedzieć, co tam jest takiego w tęg kuli tak ogromnej, a tak oddaloney — rzekł Leonek, widocznie zadowolony tęg pochwałą młodziej siostrzyczki — zresztą, po co mi ta ciekawość?

— Co, naprawdę taki jesteś nieciekawiy?

I Antosia aż w ręce klasnęła z wielkiego podziwienia i byłaby się może posprzeczała z braciszkiem, gdy wtém nadszedł ojciec i sprawa wytoczyła się przed sąd jego.

— Pocóż mi się zdała ciekawość? — bronił się Leonek — nikt przecież wiedzieć nie może, co tam jest na słońcu, żeby nie wiem jak był ciekawiy.

— Czy naprawdę tak sądzisz? — rzekł ojciec z uśmiechem — otóż ja podejmę się wyliczyć zaraz różne rzeczy, które są na słońcu.

— A co! a co! — wołała Antosia, klaszcząc w ręce — ale ty, Leonku, tego nieciekawiy; idź sobie, nie słuchaj.

Leonek jednak widocznie żartem tylko powiedział to musiał, bo zamiast odejść, usiadł tuż przy ojcu i słuchał z największą uwagą.

— Na pozór — mówił ojciec — to, co wam powiedziałem, zdaje się niepodobieństwem. Słońce jest niezmiernie oddalone, a blask ma tak rażący, że niejedyn już wzrok utracił, gdy się w nie wpatrywał nieostroźnie. Tymczasem tym jednym tylko zmysłem wzroku osiągnąć słońca możemy. I jakże tu odgadnąć, co się na niem znajduje? Ale patrzcież, jaka jest potęga rozumu, którym Bóg człowieka obdarzył: astronomowie wszystkie te trudności przezwyciężyli, a niema tu mowy o żadnych niepewnych domysłach, o żadnem zgadywaniu, bo uczeni ludzie własnymi oczyma sprawdzili, jakie ciała znajdują się na słońcu. Wiemy więc na pewno, że tam jest sod, magnezya, wapń, metale wydobywane z sody, magnezyi i wapna; jest także na słońcu żelazo, ołów, niezmierna ilość wo-

doru, gazu który woda w sobie zawiera i mnóstwo innych ciał, a z czasem pewnie wykryją tam wszystkie ciała znane na ziemi. Oto naprzykład niedawno pewien uczoney znalazł na słońcu tlen, gaz bardzo pospolity, bo wszędzie go pełno, i w powietrzu i w wodzie, i w przeróżnych gładach. Dotąd jednak nie odkryto tam jeszcze węgla, a trudno uwierzyć, aby go brakło na słońcu, gdy na ziemi w takiej jest obfitości; nie napotkano także szlachetnych metali, złota i srebra i niektórych innych ciał ziemskich.

— Ojczulku — rzekła Antosia, gdy ojciec umilkł na chwilę — czy jabym nie mogła zrozumieć, jakim sposobem ci uczeni ludzie takie dziwne, nadzwyczajne, czarodziejskie rzeczy robią? Bo pojmuję, że można naprzykład przez szkło powiększające zobaczyć góry na księżycu, jak o tém kiedyś czytałam, ale żeby na słońcu dopatrzeć takich różnych metali, to już doprawdy nie do uwierzenia. A tu ojczulek powiada, że widzieli nawet i gazy, tlen i wodor; gaz to przecież coś tak nikłego, ja go i tu na ziemi nie widzę, choć wiem dobrze, że go mam ciągle przed nosem.

— Nie łatwo to będzie wytłómaczyć tak, abyś zrozumiała, spróbuję jednak — rzekł ojciec. — Światło słoneczne, które nam się wydaje zupełnie białe, składa się z promieni różnobarwnych. Gdy się te promienie rozdziela, a są na to sposoby bardzo łatwe, ukazuje się tęcza, piękna wstęga ze smug barwnych złożona. Leonek musi przecież wiedzieć, jakim sposobem powstaje tęcza?

— Wiem, ojczu, wiem — zawołał Leonek, rad, że się ze swojemi wiadomościami przed siostrzyczką pochwali — biały promień światła, złożony z różnych kolorowych promieni, przechodzi przez kropelki wody, spadające z deszczem, rozszczepia się w nich, to jest rozdziela się tak, iż każdy kolorowy promyczek ukazuje się osobno. Promienie mogą w szkle tak się rozszczepić, trzeba tylko ażeby szkiele było graniaste, bo promień musi się załamać... ale czy to Antosia może zrozumieć takie rzeczy!

— Czemużbym nie zrozumiała — odparła dziewczynka urażona — żeby tylko ojczulek chciał mi wytłómaczyć.

— Nie wątpię o tém — rzekł ojciec — ale toby nam za dużo czasu zabrało, a mamy mówić o słońcu. Zresztą o rozszczepianiu światła i barwach pisano kiedyś obszerniej w Wieczorach Rodzinnych, możecie to sobie odczytać.

— To dobrze, ojczulku — mówiła Antosia — już ja to odczytam, a teraz proszę opowiadać, jakim sposobem można zobaczyć różne metale i gazy na słońcu?

— Gdy światło słońca rozszczepi się w gra-

niastem szkiełku, czyli w pryzmacie, powstaje z tego barwna tęcza, którą uczeni nazywają widmem słonecznym. Ale rzecz dziwna, pośród tych smug świetnych ukazują się różne prążki zupełnie ciemne, jakby jakieś przerwy w promieniach. Trzeba zaś wiedzieć, że nie tylko światło słońca, lecz i światło każdego płomienia tak samo się rozszczepia, tworząc różnobarwne widmo. Otóż jeżeli w płomieniu pali się na przykład metal sod, to wtenczas w widmie ukażą się dwa prążki żółte, złociste, nadzwyczaj świetne; inne metale płonące dają prążki odmienne, każdy ma swoje właściwe. Czasem znów paski ciemne zastępują owe świetne kolorowe. Jeżeli na przykład pomiędzy płomieniem i pryzmatem rozproszona jest w powietrzu para sodu, a każdy metal najtwardszy, w skutek gorąca może się w parę zamienić, to wtenczas w tém samym miejscu, gdzie powinny być dwa błyszczące paski żółte, ukażą się dwa prążki czarne. Wygląda to zupełnie, jak gdyby para sodowa połknęła te własne swoje promienie, a w tęczowej wstędze powstały ztąd dwie szparki. Nie wiem, czyście te szczegóły należycie zrozumieli, ale dość wam będzie wiedzieć, że prążki, czy jasne, kolorowe, czy czarne, zawsze oznaczają obecność pewnego ciała rozpalonego, w stanie gazowym. Każdy taki gaz ma swoje odrębne prążki, ukazujące się w widmie zawsze w tych samych miejscach.

— Ojczulku, doprawdy już teraz rozumiem! — wołała Antosia, składając rączki w zachwyceniu — oni z tych paseczków poznają, co tam się pali na słońcu. Nieprawdaż, ojczulku kochany. Tylko nie wiem, dla czego w widmie słonecznym pokazują się paski czarne a nie jasne? ale mniejsza już o to.

— Astronomowie powiadają, że jądro słońca, błyszczące olśniewającym światłem, złożone jest z jakiejś masy niezmiernie gęstej; czy ciekłej, czy gazowej, trudno twierdzić na pewno; dość, że nie daje w widmie żadnych pasków, bo tę dziwną własność posiadają tylko lekkie gazy. Ale jądro to otoczone jest dokoła jakby atmosferą znacznie rzadszą; tam już palą się lżejsze gazy różnych metali i one pochłaniają promienie właściwe sobie, ztąd w widmie powstają paski czarne. Raz w czasie zaćmienia słońca astronom pewien oglądał widmo słoneczne i czarne prążki na niem. Aż tu, gdy błyszcząca tarcza słońca ukryła się całkowicie w cieniu księżyca, nagle na widmie zajaśniały świetne paski na miejscu czarnych. Astronom zrozumiał doskonale, co to miało znaczyć. Światło przestało dochodzić do pryzmatu od gęstej masy słonecznej, wpadły tam już tylko promienie tej gazowej, rozpalonej atmosfery, otaczającej

słońce, a że nie miały co połykać, więc zajaśniały świetnymi paseczkami.

— To jednak rzecz dziwna — odezwał się Leonek, — że ja nigdy nie widziałem takich czarnych paseczków, chociaż mam śliczny pryzmat i robię sobie nieraz takie małe tęcze na ścianach.

— Te paseczki nie są tak wyraźne, aby się dały z łatwością oglądać. Astronomowie mają do tego osobne przyrządy, opatrzone szklami powiększającymi. Wówczas z największą dokładnością wszystkie paseczki rozpoznają i obliczają, wiedzą też doskonale, które pochodzą od sodu, które od żelaza, które od wodoru, tak zupełnie, jak gdyby widzieli na słońcu żelazo, sod lub wodor. Cóż, czy nie dotrzymałem słowa, czy nie przekonałem was, że ludzie mogą się dowiedzieć, co się na słońcu znajduje, chociaż ono tak niezmiernie jest od nas oddalone?

— I niezawodnie, ojczulku — mówiła Antosia — te różne rzeczy muszą się tam palić po prostu na słońcu, i z tego taki okropny ogień, taki blask i gorąco straszliwe się robi.

— No, tak poprostu, jak ty powiadasz, nie może to palenie się odbywać; bo największe ognisko w końcu przecież musiałoby się wypalić i zgasnąć. A słońce jednak grzeje i świeci od niepamiętnych czasów i żadnej w niem niema różnicy. Uczeni obliczyli, że gdyby taka olbrzymia bryła węgla jak słońce, paliła się zwyczajnym sposobem, toby się wypaliła całkowicie w przeciągu sześciu tysięcy lat. Od dawna sobie ludzie głowy łamią nad tém, co tam to dziwne ognisko podtrzymuje, a dotąd nie umieją tego wytłómaczyć. Śledzą paseczki w widmie, przypatrują się tarczy słonecznej przez teleskopy opatrzone ciemnymi szklami, aby rażący blask przyćmić, wykryli też tym sposobem mnóstwo rzeczy nadzwyczaj ciekawych i kiedyś zapewne dowiedzą się o wszystkiem, co się tam dzieje. Wam się zdaje pewnie, że ta świetna tarcza jest zupełnie gładka, jak blacha polerowana i jednostajnie błyszcząca. Tymczasem astronomowie widzą na niej najpierw wielkie plamy ciemniejsze, a potem mnóstwo drobnych ruchliwych ziarenek błyszczących na ciemniejszym tle. Na tém słońcu, które nam się wydaje takie spokojne, majestatyczne, gdy wypływa na błękit pogodnego nieba, odbywają się jakieś straszliwe zaburzenia i przewroty. Owe wielkie plamy, to mają być, według zdania astronomów, olbrzymie głębinsy, wytworzone przez gwałtowne wybuchy rozpalonych materij. Czém są drobne ziarneczka, tego nikt jeszcze nie odgadł. Może to fale ruchliwe jakiejś cieczy płonącej, może chmury, z metalowych par złożone. Czasem pośród tych wszystkich plam i plamek, które się ciągle zmieniają, powiększają i zmniejszają

szażą, przelatują nagle smugi płomienne, nadzwyczaj jasne. To pewna, że coś tam ustawicznie się burzy, wre, przewraca się, bucha, jakby w kotle jakimś niesłychanym.

— Jak sobie przypomnę, że w tym kocielku mogłoby się pomieścić milion kilkaset kul takich, jak nasza cała ziemia, to mi się aż straszno robi — odezwała się Antosia.

— Co tam straszego — rzekł na to Leonek — ja bym chciał być astronomem i patrzeć na te ciekawe rzeczy przez teleskop. Możebym jeszcze co nowego odkrył.

— Nim ty zostaniesz astronomem, to już pewnie wszystko odkryją — mówiła siostrzyczka.

-- Bądźcie spokojni, jeszcze za wiele pozostało do odkrycia — rzekł ojciec z uśmiechem — tymczasem opowiem wam o tém, co już dziś wiedzą uczeni ludzie o słońcu. Wy znacie tylko owę tarczę błyszczącą, dla wszystkich widzialną, ale słońce ma jeszcze dokoła tego świetnego jądra, zwanego światłosferą, rozległą niezmiernie powłokę, a ta zupełnie tonie w olśniewających blaskach światłosfery. Z prążków widma okazało się, że ta powłoka od spodu ma w sobie pary różnych ciężkich metali. Dalej następuje warstwa lżejsza, którą przewano chromosferą, a ta składa się prawie całkowicie z rozpalonego gazu wodoru. W czasie zaćmienia słońca, gdy cała światłosfera zniknie w cieniu, chromosfera ukazuje się w postaci pięknego, różowego obłoku, a z powierzchni jej buchają olbrzymie słupy takich samych różowych płomieni. Domyślają się uczeni, że to są wybuchy, z owych ogromnych ciemnych plam pochodzące. Wynaleziono niedawno sposób przysyłania blasku słońca tak, że zawsze można różowe te słupy, czyli wysoki oglądać. Ale jest poza chromosferą inna jeszcze powłoka, bledsza daleko, zwana koroną słońca; ta tylko w czasie zupełnego zaćmienia widziana być może nawet i przez astronomów. Nikt jeszcze nie mógł wykryć, z czego jest złożona. W Maju w roku bieżącym będzie całkowite zaćmienie słońca, my go jednak nie obaczmy, bo tylko na południowej półkuli będzie widzialne na wyspach oceanu Spokojnego.

— O, jaka szkoda! — rzekła Antosia — tam je tylko dzicy ludzie obaczą.

— Wcale nie — odparł ojciec — astronomowie ze wszystkich krajów cywilizowanych wybierają się do tych wysp oddalonych wraz z teleskopami i wszelkimi potrzebnymi przyrządami. Zapewne też niejedno nowe odkrycie przybędzie do wiadomości naszych o słońcu.

— Jaka szkoda, że nie jestem jeszcze astrono-

mem — szepnął Leonek — pojechałbym zaraz na wyspy Oceanu Spokojnego.

M. J. Z.

GWIAZDKA WĘGIERSKA.

POWIEŚĆ

z czasów rycerskich

przez

M. a.

(Dalszy ciąg).

— Czy tak! mój tajemniczy giermku! Chcesz więc, jak rycerz skończony, odbierać z rąk pięknych pań nagrody waleczności?! Ha, to chodźmy przedstawić śmiałą twą prośbę tej małej damie, która wistocie królową jest moją, i mego dworu, i turniejów, które się tu odbywają. Nie wiem, co ona odpowie, ale za to jej zaręczam ja pierwszy, że jeżeli kto, to ty właśnie godzien jesteś tej nagrody, której pożądasz!

To powiedziawszy, książę, dziwnie jakoś rozradowany, dał znak marszałkowi, aby trąby znowu zagrzmiały i w otoczeniu wszystkich rycerzy zszedłszy ze swego miejsca, powiódł za rękę zwycięzcę przed małą królową turniejów i wstąpiwszy wraz z nim na wzniesienie, gdzie ona siedziała, rzekł:

— Królowno, córeczko moja ukochana! oto jest giermek, tak dumny jak monarcha lub rycerz najznakomitszy, bo za nagrodę dzisiejszych swych zwycięstw śmie pożądać twojej szmaragdowej korony! Daj, lub odmów, wedle woli swojej, temu pyszałkowi, który dopiero udarowany obiecuje podnieść swą przyłbicę!

Królowna zdziwiona była istotnie zuchwałem żądaniem giermka, ale spojrzawszy na księcia, ujrzała w oczach tak wyraźnie jego wolę, że natychmiast zdjęła z włosów swą koronę własnej roboty, ale wkładając ją już na czoło klęczącego giermka, o mało nie krzyknęła, radośnie zbliżka na niego spojrzawszy, a on w tejże chwili zerwał swój czarny papierowy hełm wraz z przyłbicą, i nagle ujrzał księcia Ludwika.

Okrzyk zdumienia otaczających powitał to niespodziewane zjawisko, książę Herman tylko ścisnął syna w milczeniu i królowna radośnie patrzyła na niego, bo oni oboje domyślali się prawdy, patrząc zbliżka na zwycięzcę, a nawet książę dawniej się już tego domyślał, jako znający lepiej od niewiast dzielność swego syna. Teraz w dębowym wieńcu, powstając od stóp królowny, młody Ludwik był naprawdę uszczęśliwiony i dumny, matka i siostra upojone radością, a lud, nie pojmujący

zrazu, co się stało w szlachećnym gronie, gdy mu to heroldowie wytłómaczyli, począł tak krzyczeć, klaskać i szaleć prawie z uciechy, że młody zwycięzca, dziękując za pocziwe do siebie przywiązanie tego ludu, wsiadłszy na koń, przejeżdżać się zaczął wśród tłumów radosnych, kłaniając się uprzejmie. Za nim jechali heroldowie, rozrzucając owoczesnym zwyczajem pieniądze garściami wśród turniejów. Obok księcia zaś jechał na białym, znanym powszechnie, własnego Ludwika chowu koniku i w Ludwika ubraniu, i z jego białym piórem na czapeczce, Walter von Felsburg, jego ukochany towarzysz, jasnowłosy jak i on, który kryjąc się wśród giermków, odgrywał tak dobrze jego rolę dnia tego.

Pokazało się następnie, że nawet sami giermkowie byli zwiedzeni i nie wiedzieli wcale z kim walczą, bo marszałek turniejów sam jeden z Walterem przypuszczeni przez młodego księcia do tajemnicy, urządzili tak wszystko doskonale. Powiedział marszałek młodym giermkom poważnie, że dla wiadomej mu koniecznej przyczyny, książę Ludwik nie będzie się mógł znajdować na turniejach, i że dla oszczędzenia przykrości rodzinie, Walter będzie go udawał. Giermkowie zmartwili się, bo sądzili, że Ludwik zasłał nagle, ale dopełniając rozkazu marszałka osłaniali Waltera starannie, pomagając mu się ukrywać. Wesoła uczta zakończyła ten dzień radosny nad radosnymi i pamiętny dla całej Turyngii. Nazajutrz odbyły się wielkie turnieje. Długo bardzo pamiętał lud wspaniałość księcia przy tej uroczystości.

Ale były to też naprawdę ostatnie prawie chwile wesołych uciech w zamku Wartburgskim. Wkrótce, roku 1216 umarł książę Herman, prawdziwy ojciec, nie tylko swój własnej rodziny, ale i ludu swego. Założył on był świeżo tuż poza murami miasta Eisenach kościół i klasztor dla zakonnic, pod wezwaniem św. Katarzyny, i tam obrał miejsce pośmiertnego spoczynku dla siebie i dla swjej rodziny. Pierwszą opatką w tym klasztorze była młoda wdowa Imagina, księżniczka Brabancka. Tam wedle życzenia pochowany został książę pośród płaczu rodziny i ludu, głośniejszego dzwoń żałobne. Młody szesnastoletni Ludwik, jako najstarszy, odziedziczył tron po ojcu. Dwaj młodsi jego bracia, dostali osobne dzielnice, wedle owoczesnego zwyczaju.

Jeżeli śmierć przedwczesna księcia Hermana była nieszczęściem dla wszystkich, to była niem także w szczególniejszy sposób dla Gwiazdki węgierskiej, Elżbiety. Pomimo że książę Ludwik, narzeczony królowny, został księciem panującym i władcą kraju, to przecież ona musiała pozostać pod bezpośrednią władzą jego matki. Ta

matka zaś, najlepsza z niewiast, dopóki była pod wpływem mądrego i silnej woli małżonka, teraz zmartwiona jego śmiercią, została przytęm naraz na niesprawiedliwe i chytre nieraz albo stronne podszepty liczego dworu, i oprzeć się im nie umiała. Zwolna dozwoliła ona mimowoli wpływać na siebie uprzedzonym i niechętnym królownie dworakom, i ta ostatnia wkrótce ciężko cierpieć na tem musiała. Zmieniły się losy jasne dotąd królowny, oddawna tłumione przeciw niej niechęci wybuchły. Historycznie zaś jest sprawdzonym, że przyczyną jedyną tych niechęci była jej nadzwyczajna świętobliwość, której poprostu zrozumieć nie umiano.

Księżna matka, córka słynnego Ottona Witelsbacha, księcia Bawarskiego, pomimo wszystkich istotnych cnót swoich, była wielką panią niezmierną dumi. Cnoty chrześcijańskie królowny, wzrastające z wiekiem, takie, jak nadzwyczajna pokora, oddawanie usług ubogim, opatrywanie chorych i rannych, wstrętnych częstokroć, to wszystko raziło panią wielkiego świata i odstręczało od królowny, gdyż dowodziło wedle zdania dworzan nikczemności charakteru. Nie po raz to pierwszy z resztą chrześcijańskie cnoty były u świata uważane w ten sposób. Co więcej, było pewne stronictwo na dworze, które jeszcze od czasu owego zbierania resztek kuchennych dla ubóstwa dopatrywało w królownie początków obłędu umysłowego, i tęp zawracano także głowę księżnie matce.

Dwaj młodsi książęta byli zupełnie ujęci przez nieprzychylnych królownie, a zdaniem wszystkich, królowna powinna była być odesłaną co prędzej ojcu, królowi węgierskiemu, jako zupełnie nieodpowiednia na zajęcie wysokiego stanowiska księżnej Turyngii. Taki był cel, do jakiego dążył nieprzychylny jej ogół dworzan i arystokracji. Prosta rzecz, że mieszały się do tej niechęci widoki polityczne zaślubienia księciu Ludwikowi kogo innego. Ta to przyczyna głównie nawet kierowała intrygami dworskimi, ku odwróceniu od królowny serc rodziny turyngskiej, do czego za pozór tylko używano jej cnót chrześcijańskich, fałszywie je tłómacząc i uważając.

Młoda księżniczka Agnieszka, rodzona siostra księcia Ludwika, stała się wkrótce pierwszą nieprzyjaciółką przyszłej swjej bratowej, z którą się wychowywała. Cały młodociany dwór poszedł za nią w swych przekonaniach. Księżniczka Agnieszka nie różniła się charakterem od matki, to jest była wprost przeciwnego z królowną usposobienia. Wieleż razy w obec wszystkich Agnieszka wymawiała Elżbiecie, że zamiast na księżnę, stworzoną jest raczej na służebnicę i to niższego rzędu. Przyszło do tego, że królowna znosić musiała jawne

wyśmiewanie i wzgardę; jęć chętnie przestawianie z ubogimi i ich dziećmi, zamiast z dostojnymi panienkami, oburzało i te panienki, i ich rodziców. Łagodna zaś pokora, z jaką nie skarżąc się nigdy znosiła coraz dotkliwsze zniewagi, okrywała ją nowym dowodem niktzemności, lub upośledzenia umysłowego.

Wedle owoczesnego zwyczaju, królowna, równie jak Agnieszka, jak wszystkie znakomite panie i wszelkie niewiasty, tak w Turynii, jak nawet dawniej już w Węgrzech, zaznajamiana była ze sposobem leczenia chorób i opatrywania ran rycerskich. Była to umiejętność wspólna wszystkim niewiastom. Ale gdy inne znakomite panie zbywały ją

śladowanie, wzgardy, i zniewagi ludzkie, odwracając młodą duszę od ludzi, musiały ją z konieczności zwracać coraz bardziej ku Bogu. Kto wie, czy królowna, pozostawiona w spokoju i pieszczotach, doszłaby była do tak nadzwyczajnej świętobliwości, do jakiej doprowadziło ją prześladowanie.

— Cóż ci się dzieje panno Elźbieto? — mówiła raz księżna matka w kościele — Co nowego robisz? Czy chcesz, aby cię znowu tutaj wszyscy wyśmiali? Panienki powinny się trzymać prosto i spokojnie, a nie rzucać się jak szalone po ziemi, albo jak stare zakonnice, które niby zwiędłe róże po ziemi się ścielą. Czy nie możesz tak prosto siedzieć, jak my? nie zaś tak się zachowywać dzi-



Turnieje.

tylko, uchylając się od czynności wstrętnych lub trudnych, albo zachowywały swą umiejętność dla rodziny lub znakomitszych osób, gości czy podróżnych, Elźbieta opatrywała skwapliwie i prawdziwie lada żebraka, lada dziecko chore, spotkanych u drzwi lub na drodze. Że zaś wśród takich chorzych bardzo często znajdowali się dotknięci ciężkimi, zaraźliwymi chorobami, które udzielać się mogą przez dotknięcie, a nawet przez oddech, przeto tak gorliwie pojęte miłosierdzie chrześcijańskie królowny wywoływało przeciw niej oburzenie bez granic. Bez względu na jęć królewskie pochodzenie, na wiek młodociany, okrywano ją wzgardą publicznie. Nikt nie uważał, że prze-

wacznie? Czy ci korona zanadto cięży na głowie, że ją tak schylasz głęboko? Do czego to jest podobne siedzieć w kościele skurczoną we dwoje.

Tak mówiła księżna Zofia do królowny, gdy uniesiona gorącością ducha, padłszy na kolana, modliła się żarliwie w kościele Eisenach. Księżniczka Agnieszka mówiła znów innym razem:

— Panno Elźbieto! nie lędz się próżną nadzieją, że mój brat zostanie twym małżonkiem, jeżeli się zupełnie nie zmienisz.

Wśród ogólnego prześladowania, wśród ogólnego działania przeciw królownie, ten, na którego najbardziej właśnie starano się wpływać, aby go złe przeciw niej usposobić i wstręt w nim ku niej

obudzić, młody książe Ludwik, milczał, wcale uczuć swoich nie objawiając niczem. Nigdy nie ośmieszał prześladowców, ale też nigdy ich nie skarcił, nigdy królowy nie bronił; zachowywał ściśle względy należne jej, jako narzeczonej księcia Turynii, ale więcej nic. Nawet matka nie wiedziała, co myślał naprawdę książe Ludwik. I to też jedynie wstrzymywało jeszcze odesłanie królowy do ojca, lub jaki inny ostateczny przeciw niej postępek. Ale przez to też żaden ze znakomitych i potężnych władców niemieckich, mających córki na wydaniu, nie tracił nadziei, że książe Ludwik poślubi jego córkę i przez to wzmocni i utwierdzi jego potęgę swoją dzielnością i godnością pomiedzy panującymi.

Ale to niepojęte księcia Ludwika postępowanie dotknęło nareszcie samą królową. Miała ona wówczas lat dwanaście. Chociaż na pozór z niewzruszoną spokojnością znosiła swe nieszczęście, przecież musiała je uczuwać głęboko; ukryła się więc raz w swą komnatę, płacząc rzewnie, gdy książe, powracając z jakiejś podróży, nie przywiózł jej żadnego podarku. Po raz pierwszy zaś trafiło się to zapomnienie, i zaraz podchwycili je dworzanie, tryumfując, że nareszcie książe uznał słuszność ich rad, dotyczących królowy. Bo trzeba wiedzieć, że dawniej powszechnie były przyjęte tak zwane jeszcze dziś u ludu „gościńce.” Było zwyczajem ściśle zachowywanym, że z podróży wracając, ojciec, mąż, czy brat, czy narzeczony, przywoził ukochanym swym podarki, na dowód, że i w podróży o nich pamiętał.

Książe Ludwik, często podróżujący, zachowywał dotąd skrupulatnie ten zwyczaj. Gdy on powracał z podróży, królowa, znękana złem obejściem innych ludzi, biegła ku niemu z tém żywszą radością. Zawsze żywa i gorąca we wszystkich swych uczuciach, zbiegła z zamkowych komnat aż na dół, na przywitanie tego, który nie prześladował jej nigdy. On przy wszystkich wedle zwyczaju witał ją serdecznie i zaraz oddawał przywieziony podarek, zazwyczaj drobnostkę jakąś, ale dowodzącą pamięci. Otóż gdy po raz pierwszy tego nie uczynił, królowa uczuła to zapomnienie tak boleśnie, że ona, która dotąd wszystko spokojnie od innych ludzi znosiła, teraz od razu postanowiła działać stanowczo. Ostrożnie i zęcznie, a skrycie, postarała się zaraz nazajutrz ujrzeć pana de Varilla, wielkiego podczaszego, tego, który to przed laty przywiózł ją z Węgier i przyrzekł jej ojcu, że ją mieć będzie w opiece. Dostawszy się do tego rycerza, królowa tak rzekła do niego:

— Panie de Varilla! wiesz najlepiej wszystko, co dzieje się ze mną, chociaż zdajesz się tak samo, jak książe Ludwik, nie widzieć i nie słyszeć nic.

Mnie się dotąd zdawało, że znam i ciebie tak, jak pewna byłam, że znam księcia. Teraz ta wiara zachwiała się we mnie, a bez niej wiem, co czynić powinnam. Proszę więc pana, na wspomnienie tego przyrzeczenia, jakie uczyniłeś memu ojcu, że się mną opiekować będziesz, rozmów się z księciem. Jeżeli on powie, że nie życzy sobie już mię zaślubić, to powtórz mi to natychmiast, a ja tegoż dnia ztąd ustąpię i tak potrafię załagodzić rzeczy, że ojciec mój wcale o to do was żalu mieć nie będzie, ani tem mniej o zemście pomyśli.

(D. n.).

Dziwne zrządzenie Opatrzności, zdarzenie prawdziwe.

Pan L., powróciwszy do kraju po długich latach nieobecności, ożenił się z zamożną córką obywatelską, panną Karoliną S., która wniosła w dom jego spokój i szczęście prawdziwe.

W rok po ślubie państwa L. urodziła się im córeczka, dano jej na chrzcie imię Halina. Śliczna ta dziecina o pięknych, jasnych blond włosach, rosła na pociechę swoich rodziców, i stawiała się z dniem każdym jasnym promykiem ich życia. Pierwsze jej lata przeszły spokojnie i cicho, najmniejsza chmurka nie zaciemniała błogich dni dzieciństwa Halinki. Lecz nietrwałe jest szczęście tej ziemi.

Gdy Halina rok ósmy kończyła, zachorowała jej matka. Po kilku tygodniach ciężkich cierpień, osierociła swą córkę. Halina, chociaż jeszcze tak mała, zrozumiała dobrze tę stratę. Widząc ojca zrozpaczonego, nie chciała swojemi łzami zwiększać jego boleści; lecz w chwilach, w których nikt na nią nie patrzył, biedna sierotka gorzko płakała. Duże, czarne jej oczy, zwracały się wówczas ku niebu i nabierały prawdziwie nadziemskiego wyrazu.

Ojciec Haliny, będąc zawsze zajęty, obawiał się, czy zdoła godnie spełnić obowiązki swoje względem ukochanego jedynego dziecięcia. Ciągłe trapiiony tą myślą, oddał Halinę do pewnego zakładu naukowego, dosyć oddalonego od miejsca swego pobytu, pomimo, że było to największą, z jego strony ofiarą. Od czasu do czasu odwiedzał Halinę, były to dla niego dni prawdziwie radosne! patrząc na inteligentną i śliczną twarz córki, która mu tak żywo przypominała rysy ukochanej żony, patrząc na jej postępy, tak na drodze cnoty, jak też i w naukach, zapominał na chwilę o swoim nieszczęściu. Lecz gdy powracał do domu, pustka, jaka się tu dawała uczuwać na każdym kroku, ra-

niła mu serce i przypominała, że już nigdy nie obaczy tej, którą tak kochał.

Halina długo bardzo nie mogła się przyzwyczaić do swego nowego życia. Ona, co tak lubiła dom rodzicielski, co tak potrzebowała tej troskliwości i opieki, której doznawać możemy jedynie od ukochanych osób, z mimowolnym smutkiem a nawet z trwogą, niekiedy spoglądała na te twarze zimne i nieznane, na te mury, które jej w niczem nie przypominały rodzicielskiego domu. Biedaczka nieraz gorzko płakała, ale z czasem rozsądek wziął górę nad słabością i pogodziła się ze swym losem. W ciągu pierwszych kilku miesięcy poprzyjaźniła się z niektórymi swymi kolegami i od tego czasu łatwiej jej było znosić przeciwności i zmartwienia.

Tak uchodziły dni, miesiące i lata... Halina zdumiewające robiła postępy. Szczególniej do muzyki i śpiewu okazywała niepospolity talent. Ojciec, który zamierzał dać jej wychowanie pod każdym względem jak najstaranniejsze, nie zaniedbał kształcić w niej tych zdolności.

Pewnego dnia, a był to właśnie dzień urodzin Haliny, w którym rok piętnasty kończyła, przyjechał jej ojciec. Dnia tego dziwnie był wesół. Czas, który największe bóle łagodzi, uśmierzył także w sercu jego głęboki smutek, po stracie ukochanej żony. Widok dorastającej córki, która mu tylko chlubę przynosiła, napełniał jego serce radością, a nadzieja, iż za rok ukończy nauki, uprzyjemniała mu życie.

Ponieważ ojciec Haliny nie mógł nigdy na czas długi opuszczać zwykłych swych zajęć, przeto odjechał do domu na drugi dzień po jej urodzinach, oznaczając bardzo zbliżony czas, w którym miał ją znowu odwiedzić.

Halina, ucieszona myślą rychłego powitania ukochanego ojca, liczyła dni i godziny, oddalające ją od jego przyjazdu. Nareszcie zawitał dzień oznaczony! Halina ciągle biegła ku oknu, chcąc zdaleka zobaczyć przyjeżdżającego ojca, lecz na-daremne były jej oczekiwania; dzień ten przeminał jak inne, i Halina dopiero późno w nocy udała się na spoczynek z przykrém uczuciem zawiedzionej nadziei.

Po tym dniu tak niemiłym przeszło kilka następnych, które się Halinie rokiem wydawały. Niespokojna o swego ojca, gubiła się w tysiącnych domysłach i nie chciała słuchać żadnych perswazyi, żadnych uspokojen. Tém więcęć zaś cierpiała, iż umysł jej żywy i bujna wyobraźnia nie mogły z zimną krwią silniejszych znosić wrażeń. Nic prawie nie jedząc, nie śpiąc po nocach, dostała nareszcie gorączki.

Tak przeszedł jeszcze dzień jeden. Już słońce skłaniało się ku zachodowi, oblewając cały krajobraz złotymi smugami, gdy jedna z koleżanek Haliny wręczyła jej opieczetowane pismo. Był to telegram od znajomych jej ojca, zawierający te krótkie słowa: „Ojciec twój umierający. Przyjeżdżaj”.

Któż zdoła opisać przestrach i rozpacz Haliny? Kierując się popędem serca, chciała tej-że nocy lecieć do ojca, lecz gwałtem powstrzymana przez przełożoną zakładu, dopiero na drugi dzień zrana spełnić mogła swój zamiar. Ze wschodem słońca odwieziono ją na dworzec kolei. Błada, nieprzytomna prawie, wsiadła do wagonu. Ufność w Boga i wrodzona energia podtrzymywały ją jedynie. Po kilkanastogodzinnej podróży, stanęła w mieście swym rodzinném.

Wysiadłszy z wagonu, Halina lotem strzały popędziła ku rodzicielskiemu domowi. Nie zatrzymując się wcale, przebiegła kilka drobnych uliczek. Ani zdziwione twarze przechodniów, ani zmęczenie, ani przenikające zimno, nic jej nie powstrzymywało w szybkim biegu.

Wreszcie bezwiednie prawie otworzyła drzwi główne, prowadzące do pełnego dla niej wspomnień domu.

Tu nie mogła przezwyciężyć gwałtownych uczuć, jakie miotaly jej duszą. Wszedłszy do pierwszego pokoju, padła na ziemię, omdlała!...

W parę dni potem widzimy Halinę, siedzącą u łóża swojego ojca. Dzięki staraniom najbieglejszych lekarzy, chory odzyskał zdrowie, a w krótkim czasie i siły, wziął się też do zwykłych swych zajęć. Codziennie jednak powracał do domu, a jedyną jego pociechą, jedyną osłodą, była ukochana córka. Tak błogiemi zdawały mu się te chwile, w których czuł ją przy sobie, że z pewną przykrością przychodziło mu wspomnieć o potrzebie odwiezienia jej do zakładu, w którym poprzednio pozostawała. Tyle lat spędzonych w samotności i zaparciu się samego siebie, znalazły wreszcie switą zapłatę.

Halina starała się rozweselić ojca ile możności, zatrzeć w jego pamięci niejedno bolesne wspomnienie, które, jak odgłos oddalony, odzywało się czasem w głębi jego duszy. Jednak od czasu swego powrotu do rodzicielskiego domu jakieś smutne miała przeczucia. Niewymowna trwoga, dziwny niepokój, miotaly jej duszą. A jednak nic jej nie brakowało; czyż nie była szczęśliwą? Czuła się także coraz więcej osłabioną.

Przez miłość dla ojca, umiała jednak ukryć swe niepokoje i przeczucia; gdy wchodził do pokoju, witała go zawsze wdzięcznym uśmiechem; lecz

gdy zostawała samą, zapłakała nieraz rzewnymi łzami, lub w pełnych smutku i tęsknoty akordach ulubionego żałobnego marszu Szopana wylewała swoje uczucia.

Tak przeszedł miesiąc jeden i drugi. Halina czuła się coraz więcej osłabioną. Ojciec z początku nie zwracał na to uwagi, lecz niezadługo spostrzegł wielką zmianę w jej pięknych czarnych oczach, które nabrały jakby metalicznego blasku, podczas gdy nienaturalny rumieniec okraśniał lice śnieżnej białości, i dla tego zaniechał zamiaru odwiezienia córki do zakładu, pomimo że na troskliwe zapytania ojca Halina odpowiadała półsłóvkami, upewniając go, że czuje się najzdrowszą.

Po długich zimowych wieczorach nastała wiosna, Maj. Drzewa kwitnące napełniały całą okolicę balsamiczną swą wonią, a słowiki, ukryte w ich cieniu, cudnymi odgłosy je ożywiały. Za przykładem najzamożniejszych mieszkańców miasta, P. L. wyjechał z córką do poblizkiej willi, sądząc że świeże wiejskie powietrze i niczem niezastąpiona swoboda dobroczynnie wpłyną na jej zdrowie.

Halina, która wicé bardzo lubiła, cieszyła się jak dziecko, iż opuściła choć na czas krótki hałaśliwe miasto. Te też całe dni spędzała na świeżem powietrzu, wśród pięknej przyrody. Po kilku tygodniach czuła się nawet zdrowszą, rzeświejszą.

Był piękny wieczór czerwcowy. Jaskrawe słońce ozłacało wysmukłe topole i płaczące brzozy, słowik ukryty w gęstwinie wywodził jeszcze półgłosem perliste trele. Nieopisana cisza zalegała dokoła, nie przerywał jej najłżejszy powiew wietrzyka.

Gdzie była Halina? czy spoczywała?

Tak, spoczywała snem długim: snem wieczności. Czysta jej dusza uleciała ku Niebu.

Na bogato przybranym katafalku złożona była piękna, martwa jej postać. Wieniec róż białych otaczał pogodne czoło.

W parę dni potem odbył się pogrzeb Haliny. Na świeżo usypanej mogile klęczał starzec o rysach poważnych. Twarz jego wyrażała, nie żal namiętny, lecz spokój i poddanie się woli Bożej. Był to ojciec Haliny — on, który stał już nad grobem i powrócił do zdrowia po to, ażeby patrzeć na śmierć ukochanej swej córki!

Takie są dziwne zrządzania Opatrzności.

Maryla.

MAŁY HRABIA,

przez Quide,

przekład z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

— Jakże ślicznie na dworze! — pomyślał. — Czemuż wszyscy ludzie nie wstają razem ze słońcem?

Wiedział jednak, że jeżeli zechce świat zwiedzić, nie powinien się ociągać i tracić czasu, więc tak szybko, jak tylko zdążyć mogły niezbyt silne jego nóżki, pobiegł ku morskim wybrzeżom. Mgła gęsta osłaniała powierzchnię wód i pusto było na wybrzeżu; chłopiec tylko jeden przygotowywał sieci w starém czółnie. Bertus pobiegł ku niemu, i podając mu dwa szylingi, zapytał:

— Czy możesz mnie przewieźć do Benchurch? *)

— tak się nazywała poblizka wioska.

Chłopak rozśmiał się radośnie.

— Z pewnością, paniczu, dwanaście osób przewiozłbym za te pieniądze.

Mały hrabia wskoczył do czółna z gorączkową zwinnością więźnia, wydostającego się na wolność. Czółno było stare, brudne i na białém jego ubraniu straszne pozostawiło ślady, ale on tego nie widział pod wpływem radosnego uczucia, że był sam nareszcie i robił to, co mu się podobało. Chłopak był duży i zręczny, robił wiosłem z całej siły, i stara niezgrabna łódka unosiła się szybko na falach. Czółno, którem Bertusia przewożono do jego yachtu, było długie, wąskie, pomalowane, wyłacane, i ślicznie utrzymane, przewoźnicy mieli białe ubrania, i czapki czerwone, ale nigdy przejażdżka w tém wykwintném otoczeniu nie cieszyła małego hrabiego. Ktoś zawsze stał przy nim, powtarzając:

— Nie przechylaj się tak — albo. — Uwważaj, żeby cię woda nie obryzgała!

O! to nieznosne: „Uwważaj!” słysząc tę przestrożę każdy chłopiec ma ochotę głową naprzód rzucić się w wodę, albo zeskoczyć z drzewa! Wiem, że doznajecie wszyscy tego uczucia ze dwadzieścia razy na tydzień, ale go wam nie chwałę bynajmniej.

Nic niema cudniejszego od wybrzeża wyspy Wight, które rozciąga się ku Benchurch; krzaki mirtowe i laurowe, brzozy i wierzby, rosnące w nieładzie, tak, jak przyroda je zasiała, dochodzą do samej wody. Bertus, spoglądając w górę, gdy czółno zwolna płynęło, był uszczęśliwiony, a gdy się odwrócił i ujrzał białawe kłęby mgły, unoszą-

*) czytaj Benczurcz

ce się ponad falami, niemniej był zachwycony tym widokiem. Zdawało mu się, że jest w czarzarowanej krainie. Głos małego rybaka rozwił jego marzenia.

— Muszę was tu wysadzić, paniczu, i powracać, bo mi stary łaźnię sprawi.

— Kto to jest: „stary”? — zapytał Bertus.

— Ojciec — powiedział chłopak. — Da mi w skórę, bo czółno do niego należy.

— Niedobrze zrobiłeś, żeś je wziął bez pozwolenia — powiedział Bertus surowo.

Chłopak się rozśmiał.

— Daliście mi dwa szylingi, paniczu.

— Nie chciałem cię namawiać do złego — powiedział Bertus z wielką powagą, ale się zarumienił, bo nie był pewien, czy sam źle nie postępował.

Stare czółno szorowało już po piasku, i nasz hrabia wysiadł w małej zatoce, zarosłej drzewami; wybrzeże wznosiło się nieco i u góry widać było chatkę.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał chłopca, ale ten umknął natychmiast, robiąc co żywo wiosłem, i nic nie odpowiedział.

Mały hrabia uczuł się trochę opuszczonym i nie wiedział co robić, niedaleko w świat zaszedł a już mu się jeść chciało. Kurzyło się z komina chatki, której drzwi otworem stały, ale on się lekkał, aby go ludzie nie zatrzymywali, gdyby o co poprosił. Zresztą do chatki prowadziła stroma ścieżka wśród gęstych zarośli, poszedł więc wzdłuż wybrzeża; postępował zwolna, bo kamyki były ostre i musiał omijać rozsiane odłamy skały. Ale z jednej strony rozciągało się szerokie morze, a świat stał otworem przed nim, więc szedł odważnie, i wkrótce stanął w wiosce Benchurch. Było jeszcze bardzo wczesnie, wszyscy spali, i schludne domki, o dachach słomianych, ukryte w zielonych ogródkach, jeszcze były pozamykane. Wszystkie drzewa rzucały długie cienie na jedyną ulicę, a zielone ich gałęzie przeglądały się w czystej wodzie wielkiego stawu. Było to spokojne, ciche ustronie, pełne cieniu i chłodu, położone nad samem morzem.

Kobieta jakaś otwierała właśnie okiennice w sklepiku piekarza; mały hrabia uklonił jej się grzecznie, zdejmując kapelusik marynarski i powiedział:

— Proszę pani, czy będziesz łaskawą sprzedać mi trochę mleka i chleba?

Kobieta popatrzyła na niego i rozśmiała się.

— Czemuż nie, mój miły chłopczyku. Ja wprowadzę tylko chleb sprzedając, ale dam ci także i mleka, bo tak mizernie i blade wyglądasz. Wejdźno ze mną, mój paniczu.

Poszedł za nią i zdziwił się, ujrzawszy izdebkę

małą i ciemną, całą ubieloną mąką, ale pieczywo pachniało, a on był taki głodny,

Kobieta postawiła przed nim miseczkę z mlekiem, kawałek chleba i drewnianą łyżkę, a mały hrabia włożył rączkę do kieszeni, chcąc dobrać pieniędzy, ale nie znalazł ani grosza. Zarumienił się, potem zbładł i pomyślał, że pieniądze pewno wpadły do morza wraz z zegarkiem, który zniknął. Nie przyszło mu do głowy, że je zabrał niedobry chłopak, a jednak tak było.

Powstał zmieszany i zawstydzony.

— Przepraszam panią — powiedział — myślałem, że mam pieniądze, ale je zgubiłem. Dziękuję bardzo pani, ale nie mogę jeść tego.

Kobieta była dobra i roztropna.

— Nic to nie szkodzi, mój drogi paniczu — powiedziała — bardzo chętnie ci dam chleba i mleka, a rodzice później mi zapłacą.

— Nie, nie — powtórzył Bertus rumieniąc się i z obawy, żeby głód nie wziął góry nad uczuciem godności, wyszedł śpiesznie z piekarni, i pobiegł ocnioną drogą tak prędko, jak nigdy w życiu jeszcze nie biegał. Wszyscy w domu powtarzali, że miał bardzo dużo pieniędzy, ale on nie wiedział, gdzie te pieniądze były; wreszcie nie miał ochoty powracać do babki, do Debory i Ralfa, dopóki się nie dowie całej prawdy, i nie obejrzy swego królestwa.

Przebiegł więc przez Benchurch, i opuścił miłe to ustronie z westchnieniem, które pochodziło po części z niecierpliwości, a po części z głodu. Nie udał się już wzdłuż morza, bo słyszał, że w tej stronie znajduje się miasto Ventnor, i bał się, żeby go tam kto nie poznał i nie zatrzymał, ale skierował się w głąb wyspy, szedł ścieżką, ciągnącą się przez żyzne pastwiska. Przy drodze obaczył stojącego chłopaka, który zajadał coś dużego, okrągłego, białego, nic podobnego nigdy nie widział.

— Musi to być coś bardzo dobrego, kiedy on to tak chciwie spożywa — pomyślał mały hrabia, i tak był zciekawiony, tak pragnął pokosztować tego dziwnego, nieznanego przysmaku, że zbliżył się do chłopca, mówiąc:

— Bądź łaskaw powiedz mi, co to takiego zjadasz?

Chłopak rozśmiał się, pokazując białe zęby.

— Niech panicz skosztuje — powiedział, podając Bertusowi to, co było poprostu obraną rzepą.

Mały hrabia spojrział z niedowierzaniem; nie miał wielkiej ochoty kosztować tego, czego tamten dotykał zasmolonymi palcami. Ale myśl, że dozna podobnej rozkoszy, jaka się malowała na twarzy chłopaka, że skosztuje nieznanego specyału, przewyciężyła wstręt i wybredne nawyki. Z jednej strony rzepa była jeszcze nienadgryzio-

na; drząc ze wzruszenia, Bertuś zapuścił w nią ząbki.

— O! — zawołał, jakby przerażony — jakie to suche i twarde, i niema żadnego smaku.

— Rzepa jest bardzo dobra — powiedział chłopak.

— Nie, nie — powtórzył Bertuś z oburzeniem, i rzuciwszy rzepę w trawę, odszedł dalej.

— Paniczu — zawołał za nim chłopak — pewno wam się jeść nie chce.

Tak było w samą rzecz. Małemu hrabiemu nie chciało się jeść, i dotąd nigdy w życiu nie doznał jeszcze głodu, ale prosta ta myśl nie przyszła mu do głowy, nawet kiedy chłopak głośno ją wypowiedział. Pomyślał sobie tylko: — Jak można takie paskudztwo jeść, jak gdyby to było coś bardzo dobrego.

Idąc ciągle przed siebie, uszedł blisko pół mili, i znalazł się koło sklepiku, który stał odosobniony na drodze, i był z pewnością najmniejszym, najsamotniejszym sklepikiem w świecie. Ale siedziała w nim wesoła staruszka, i Bertuś zobaczył tam chleb, różne inne rzeczy i blaszane pudełka, których nigdy jeszcze nie widział.

— Proszę pani — powiedział nieśmiało, podając jej złotą kotwicę, którą oderwał od wstążki, opasującej jego kapelusik — zgubiłem pieniądze; możeby pani była łaskawą dać mi za to cośkolwiek na śniadanie.

Staruszka obejrzała kotwicę na wszystkie strony, ścisnęła ją w zębach, i powiedziała poważnie:

— To i dwóch groszy nie warte, paniczu, ale przykro widzieć tak małe i wątłe dziecko głodne i opuszczone. Chętnie ci więc dam jeść, wejdź proszę.

— Dziękuję pani — powiedział Bertuś, który nie znał wcale wartości swojej złotej kotwicy.

— Proszę wejść — powtórzyła kobieta; zaraz się zakrzętnęła, podała mu trochę mleka, chleba i kawałek surowej słoniny.

Wszyscy w domu martwili się, że mały hrabia nie miał apetytu, a lekarz nie szczędził mu tranu, żelaza, chiny, i różnych innych leków, żeby wzbudzić w nim ochotę do jedzenia, a zawsze na próżno. Ale w tej chwili Bertuś czuł się prawie tak głodnym, jak chłopak zjadający surową rzepę. Nigdy w życiu nic mu tak nie smakowało. Staruszka patrzyła na niego ciekawie.

— To jakiś zbieg — myślała — ale nie powiem o nim nikomu, boby mi jeszcze to złote cacko odebrali; nic mu się nie stanie, a ja to sprzedam, jak pójdę do miasta.

Nie robiła świetnych interesów na swoim sklepiku, gdzie uczęszczali tylko najbiedniejsi, a doda-

wanie piasku do miążkiego cukru, gliny do mustrdy, i tłustości do masła, przytępiło w niej oddawna poczucie moralności. Gdy Bertuś zjadał swoje śniadanie, weszła chuda, mizerna, uboga odziana kobieta, która podając dwa grosze, prosiła słabym, pokornym głosem o „krzyнкę mleka dla Zuzi“.

— A jak się ma Zuzia? — zapytała właścicielka sklepiku. Kobieta potrząsała głową, i łzy potoczyły się po jej wychudłych policzkach.

— Chłopak mój Dan poszedł do bażantarni — powiedziała po cichu — może co przyniesie. Czy weźmiecie ptaka i dacie mi co za niego?

Staruszka zmarszczyła się i wskazała na małego hrabiego.

— Ptaki są niezdatne do jedzenia przed pierwszym Lipca — powiedziała, podając mleko biednej kobiecie, która zapłaciwszy swoje dwa grosze umknęła czempredzję.

— Ta kobieta musi być bardzo biedna — powiedział poważnie Bertuś.

Staruszka się rozśmiała.

— Więc dla czego pani bierzesz od niej pieniądze? trzeba było dać jej mleko darmo.

— A czy to panicz jest księdzem w krótkiej sukience? Ja może równie biedna, jak ona, ale ona zasłużyła na to, bo jej mąż polował na cudzą zwierzynę, i umarł w więzieniu tej zimy.

— I syn jej łapie cudze ptaki w sieci! — zawołał Bertuś, który nagle wszystko zrozumiał — i pani kupujesz je od nich! Jak można być tak złą, tak niegodziwą!

Zamiast odpowiedzieć, staruszka porwała i rzuciła blaszane pudełko, które na szczęście nie trafiło w chłopczyka, ale uderzyło o koszyk z jajami a te się potłukły, rozbiło potem szybę w oknie.

Bertuś powstał, i poważnie poszedł ku drzwiom, patrząc ciągle na kobietę.

— Jak tylko spotkam sędziego — powiedział surowo — powiem mu, że pani tak kusi biednych ludzi; to bardzo brzydko.

Rozzłoszczona kobieta porwała kubek z brudną wodą i chlusiła nią na małego hrabiego; kilka kropel go dosięgło i do reszty zawałało białe ubranie. Szukał oczyma biednej kobiety z mlekiem, żeby ją pocieszyć, i powiedzieć zarazem, że bardzo źle postępuje, ale nie mógł jej dostrzedz, i Bertuś pomyślał sobie, że jak zacznie tak winnych nawracać po drodze, to nie będzie miał czasu zwiedzić świata ani odszukać swego królestwa. Pożywił się trochę, siły mu wróciły, w sercu odżyła odwaga i nadzieja; gdyby tylko miał Ralfa, czułby się zupełnie szczęśliwym.

Szedł więc żwawo i śmiało, i zatrzymał się dopiero przed drewnianą budką, stojącą na polu.

Ogień żarzył się w tej budce, przy ogniu stał człowiek i rozgrzewał kawał żelaza, a trochę opodał leżała świnka przywiązana do żelaznego kołka. Bertus zobaczył, jak człowiek wyjął z ognia rozpalone żelazo i zbliżył się do świnki; chłopak aż zarumienił się z oburzenia.

— Poczekaj, poczekaj — wołał, wbiegając do budki — co to chcesz robić tej śwince?

Człowiek spojrzał na niego zdziwiony.

— Znacę tę świnkę — odpowiedział — umykaj, bo i ciebie naznacę.

Bertus ani drgnął, i z oczyma zaciekawionemi mówił:

— Jaki zły i okrutny jesteś. Czyż nie wiesz, że Pan Bóg stworzył tę biedną świnkę?

— Nie wiem — odpowiedział człowiek śmiejąc się — ale wiem, że ją ludzie zjedzą w karnawale. Muszę ją naznaczyć, żeby się z innemi nie pomyślała, a ty ruszaj sobie, chłopcze, bo tu nie twoje miejsce.

Bertus stał nieruchomy i zacisnął drobne rączki.

— Nie pozwolę, żebyś tak męczył biedne, bezbronne zwierzę — powiedział, i twarzyczka jego jeszcze bledszą się stała. — Nie pozwolę na to.

Człowiek zmarszczył brew, ale jednak rozśmiał się, mówiąc:

— Może mnie wybijesz, jak cię nie usłucham?

Bertus stanął przed biedną świnką, która przestraszona kwiczała przeraźliwie.

— Nie dotkniesz jej, chyba mnie wprzódki zabijesz. Jesteś zły i okrutny.

Człowiek się rozgniewał teraz naprawdę.

— Słuchaj no, smarkaczu, mam wielką ochotę spróbować na tobie mojego żelaza. Wyglądasz, jak zdechłe kocię. Ruszaj ztąd, jeżeli nie chcesz, żebym cię sparzył czemś, co jest bardzo gorące.

Bertus czuł, jak mu się słabo robiło, ale nie ruszył się, i nie spuścił oczu.

— Wolę żebyś mnie spalił, niż to biedne stworzenie — odpowiedział.

— To dopiero! — zawołał człowiek, zapominając o swym gniewie z wielkiego zdziwienia. — To zuch chłopak!

— Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć — odrzekł Bertus nieco wyniośle, ale wiem, że nie zrobisz nic złego śwince.

— Ja ci tu dam! — wrzasnął człowiek. — Naznacę cię tym żelazem, jeżeli mnie zaraz nie przeprosisz na kolanach.

— Ani myślę.

— Nie przeprosisz mnie za to, żeś taki hardy?

— Nie, bo jesteś niedobry, okrutny.

Bertus zamknął oczy; był pewien, że za chwilę

uczucie ból straszny, dotknięcie rozpalonego żelaza, ale się nie uląkł.

Człowiek spuścił rękę.

— Zuch jesteś! — powtórzył. — To przecież był żart tylko, a taka z ciebie odważna sztuka, że chcesz ci przyjemność sprawić, i gotów jestem puścić tę świnkę nienaznaczoną. Dziwne z ciebie dziecko, jeżeli nie jesteś aniołkiem z nieba.

Oczy małego hrabiego napęłniły się łzami. Podał po królewsku drobną rączkę do pocałowania tak, jak to czynił w Awillien.

Ogromny, ogorzały mężczyzna ścisnął ją w swą opaloną dłoń.

— To dzielny chłopak — powtarzał pocichu zdziwiony i prawie wylękniony.

— I nigdy, nigdy, nigdy już nie będziesz palić biednych świnek? — zapytał Bertus, patrząc na niego wielkimi błyszczącymi oczyma.

— Nigdy tej jedułej nie naznacę — powiedział człowiek. — I tego dosyć, bo nikt jeszcze dotąd tyle na mnie nie wymógł.

— Ale nie trzeba nigdy tego robić — rzekł Bertus uroczyście. — To złe jest, i Bóg się gniewa za takie rzeczy. Taki duży, silny mężczyzna, nie powinien kaleczyć biednego, bezbronnego stworzenia. Nigdy tego nie rób.

— Jak ci na imię, paniczku? — zapytał pokornie człowiek.

— Nazywają mnie Awillien.

— William? Będę się co niedziela modlił za Williama w kościele — powiedział człowiek wzruszony, i po cichu mruknął: — Takiego zucha jeszcze nie widziałem.

— Dziękuję bardzo — powiedział łagodnie Bertus, i ukłoniwszy się grzecznie, wyszedł z budki, nim człowiek mógł ochłonąć ze zdziwienia.

Gdy mały hrabia spojrzał poza siebie, ujrzał olbrzyma gaszącego ogień wodą i świnkę wyzwoloną z więzów.

— Przestraszyłem się — powiedział Bertus sam do siebie — ale chociażby mnie był żywcem palił, nie byłbym ustąpił.

I głos jakiś zdawał się szeptać mu do ucha: „Najpiękniejszą rzeczą na świecie jest odwaga połączona z litością, we dwie potrafią one cudów dokazać”.

W tej chwili Bertus, prócz pewnego wdzięku wytwornego, którego nic go nie mogło pozbawić, nie wyglądał wcale na panicza. Białe jak śnieg ubranie było powalane, poplamione, czerwone pończoszki, zamoczone i zabłocone, straciły swoją barwę, kapelusz był wymięty, a włosy w nieładzie spadały na czoło. Przechodząc koło niego, nikt nie byłby się domyślił, że obszarpany ten chłopak był małym hrabią, a jednak, gdy go kiedyś w dworski

strój ubrano i zawieziono do królowej, do jej zamku Balmoral w Szkocji, nie był o połowę tak dumnym, ani o dziesiątą część tak szczęśliwym, jak w tej chwili. Zdawało mu się, że był podobnym do dawnych rycerzy, o których tyle się nazytał.

Idąc tak żwawo i swobodnie, ujrzał płaczącą dziewczynkę. Dziewczynka była brzydka, miała czerwone włosy bardzo roztargane, szerokie usta, i cerę ceglanej barwy, ale była zapłakana, i w obecnym bohaterским usposobieniu, Bertus nie mógł przejść koło niej bez słowa pociechy.

— Czego płaczesz, dziewczynko? — zapytał stając przed nią, na ścieżce trawą obrosniętej.

Spojrzała na niego małemi, przenikliwemi oczkami, i wykrzywiając się od płaczu odpowiedziała:

— Idę do szkoły, paniczku.

— Do szkoły? i czegoż płaczesz? Czy umiesz czytać?

— Nie — rzekła dziewczynka, i głośno zaczęła szlochać.

— Więc czemuż się nie cieszysz, że się czegoś nauczysz? — zapytał Bertus, z powagą człowieka wykształconego.

(D. c. n.).

ŁAMIGŁÓWKA LICZBOWA.

(Od Nat. O. dla Zos. i B.).

Z 9 liter ułożyć nazwisko poety z XVIII wieku. Przystawiając litery otrzymamy:

4, 5, 1, 2, Rodzaj broni.

3, 2, 8, Zwierzę wodne.

8, 2, 3, 4, Ryba.

8, 9, 3, Oznaka żałoby.

1, 3, 2, Nazwa lodu.

4, 5 6, 7, 1, Miasto w gub. Mińskiej.

5, 1, 3, 2, Jajka ryby.

8, 2, 5, 3, Miasto w Egipcie.

4, 2, 3, 8, Rodzaj ogrodu.

8, 2, 3, 1, Część ciała.

S Z A R A D A (Różia D.).

W mojem imieniu, pierwsza razem z drugą:
Nimfa z gór szczytu—greckich bożków dziecię;
Pod jej troskliwą piastunczą usługą,
Zeus, bóg grecki, wzrósł na wyspie Krecie.
Trzecia i czwarta: małżonka Jakóba,
Za siedmioletnie dana mu zasługi;
Lecz to nie Rachel — co mu była luba,
Bo za tę służył siedm lat po raz drugi.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 7-go.

Zadania arytmetycznego:

Łokieć sukna kosztuje 4 ruble, perkalu 40 kop. flaneli 1 rubel.

Łamigłówek głoskowej:

Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Ludwisiowi M. w Szepetówce. Łamigłówka dobrze jest ułożona i chętnie ją zamieścimy w naszym Piśmie. Liścik bardzo porządnie napisany, tylko niewłaściwie zaadresowany do redaktora, gdyż Wieczory Rodzinne wychodzą pod kierunkiem redaktorki.

Zdzisiowi R. w Warszawie. Obawialiśmy się, aby zadanie nasze nie było za trudne dla młodych czytelników, to też zadziwiliśmy się bardzo przyjemnie, otrzymawszy trafne rozwiązanie od pilnego ucznia 1-jej klasy. Prosimy o wiadomość, które powieści i artykuły tak się podobają w naszym Piśmie.

Morysiowi K. w Warszawie. Rozwiązania łamigłówek i zadania arytmetycznego wyborne. Załączona łamigłówka dobrze ułożona i będzie wydrukowana.

Kasi, Zosi, i Maryni Z. w Homlu. Cieszymy się niezmiernie, że i Piśmko i książeczki, tak się kochanym dziewczętkom podobały. Radziłyśmy bardzo skorzystać z zaproszenia, ale kłóży tu tymczasem pilnował redakcyi? Musimy więc poprzestać na korespondencyi i prosimy, aby tak miłe i serdeczne liściki nadchodziły jak najczęściej.

Maryni D. w Delatyczach. Na szczęście kochanej naszej korespondentki żądane kartki znalazły się jeszcze w naszej redakcyi i wysłaliśmy je pod opaską. Ale cośmy się naszukali adresu! W tym liściku bowiem nie był dołączony, a chcąc znaleźć dawniejszy, musieliśmy całe stopy papierów przerzucić. Wszystkich czytelników naszych prosiliśmy już nieraz, aby zawsze, żądając jakiej przesyłki, wypisywali wyraźnie w liściku adres, gdyż odnajdowanie go w księgach lub w dawniejszych listach wiele nam przyczynia kłopotu. Ucieszyła nas bardzo wiadomość, że nasze Wieczory czytane są z większym zajęciem od Piśemek francuzkich. Mamę przepraszamy za spóźnioną odpowiedź, ale często przy licznych zajęciach trudno nam zasięgnąć śpiesznie żądanych informacyj. *Journal de la Jeunesse* jest także do brém Piśmkiem, ale dla dorastającej młodzieży; wskazany zaś przez nas *Journal d'éducation et de Recreation*, stosowniejszy jest dla młodszych czytelników, dla małych zaś jest jeszcze *Le Saint Nicolas*.

SPROSTOWANIE.

W N-rze 8 wcisnęły się omyłki następujące.
na str. 122 szp. 2 w. 13 od dołu: zamiast *Ciechanówkę*, czytaj *Czechówkę*.
na str. 123 szp. 2 w. 13 od góry: zamiast *zdobi*, czytaj *hańbi*.

WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.



GRZECZNE KOTKI.

Lizuś, Kiziuś, Miziuś, trzy koteczki były, Każdy swojej matce z innych przyczyn miły: Lizuś, że był biały, Kiziuś, że był bury, Miziuś, że był wielce dowciwniej natury. Lecz największe łaski ztąd miały u matki, Że posłuszne były... jak nie wszystkie dziatki. Bywało siędą rżędem wszystkie trzy koteczki, Łapki zgrabnie złożywszy naprzeciw mateczki, A ona je z kolei biorąc za te łapki, Uczy: jak zastępować niezdarne pułapki, Jak kocie obowiązki pełnić należycie, I jak zacnie, bez plamy, pędzić kocie życie. Białemu Lizusiowi powie kotka-mama: — Nie leż w komin, bo będzie na futerku plama! Więc już Lizuś zdaleka chodził od komina. Kiziusiowi, że bury z niego był kocina, Mówi matka:—Ty mąki strzeż się, luby kocie, Bo z mąki będą plamy na burym paltocie! I odtąd białej mąki strzegł się kotek bury. Miziusiowi zaś rzekła:—Mijaj duże szczury! Boś maleńki! choć serce i odwaga służy, Żle być może z kociną, kiedy szczur za duży! Miziuś słuchał... i wcześniej się odznaczył mę-

[ztwem,

I do matki powracał uwieńczon zwycięztwem. Długo żyły trzy kotki zacnie i bez plamy, Dla tego, że słuchały nauk kotki-mamy!

M. Z.

Urszulka.

III.

Urszulka niezmiennie lubiła przysłużyć się każdemu, a już najbardziej Ojcu, Mamie i siostrzyczkom. Że była jeszcze bardzo mała, więc nie wiele robić i pomagać mogła, a przecież przy dobrych chęciach i tak potrafiła być każdemu pomocą.

Więc siostrzyczkom trzymała motki jedwabiu przy zwijaniu. Nudna to jest okropnie robota, inne dziecko, nie lubiące siedzieć spokojnie, uciekłoby od niej, ale Urszulka jeszcze sama się z tą pomocą nastęczała siostrzyczkom, i chociaż bardzo żywa, i lubiąca skakać i biegać, przecież nieraz długo spokojnie trzymała na rączkach pasma jedwabnych nitek.

Starsze jej siostrzyczki, szczególnie najstarsze, Ewa i Ludwina, ścisnęły ją za to serdecznie i całowały, a co tylko mogły miłego jej czyniły. Temi pięknymi jedwabiami haftowały one śliczne roboty. Były to jedwabie czerwone, zielone, niebieskie, pomarańczowe, szafirowe, i inne; Ewa haftowała niemi w ogromnych krosnach prześliczny czaprak dla pięknego konika, Ludwina zaś, która miała być zakonnicą i mieszkać w wielkim murywanym klasztorze, haftowała temi jedwabiami prześliczne ornaty, stuły, i inne kościelne ozdoby. Więc, gdy te roboty były ukończone, każda duża siostra brała na ręce maleńką Urszulkę i pokazując jej tak z góry, aby się piękniej wydała, skończoną i rozpostartą na wielkim stole robotę, mówiła:

— Widzisz! gdybyś mi nie trzymała jedwabiu do zwijania, nie potrafiłabym tak wyhaftować.

Urszulka chwyciła obiema rączkami za szyję swoje duże siostrzyczki i mówiła:

— Dla takich dobrych siostrzyczek, trzymałabym nie ruszając się jedwabie dzień i noc!...

Wujaszek i jego siostrzeńcy.

— Pójdźcie no zemną do piwnicy, to dopiero zobaczycie, co ja umiem! — rzekł Wujaszek Tadzio do swoich siostrzeńców, Bińcia, Tyńcia i Mińci.

Siostrzeńcy spojrzeli po sobie i nie śpieszyli do piwnicy, bo jakoś im się nie zdawało, żeby tam dzieci były potrzebne. Ale jak to Wujaszek spostrzegł, rozgniewał się okrutnie i skrzyczał ich za to, że są nieposłuszni i należącego Wujaszcego uszanowania nie znają. Więc dzieci pospuszczały noski i poszły za Wujaszkiem do piwnicy.

Ale ledwo zeszli do połowy tych schodów niewygodnych, trochę ciemnych i bez poręczy, gdy Wujaszcego pośliznęła się noga, bo szedł prędko. I spadł Wujaszek do piwnicy głową na dół, gdzie stały duże beczki. Głowa i ramiona zupełnie mu się pomiędzy te beczki schowały, tylko nogi w czerwonych pończochach i w bucikach z jednym urwanym obcasem wyglądały z pomiędzy beczek. I kiwały się te nogi, i machały w powietrzu tak zabawnie, że siostrzeńcy, patrząc na to, sami nie wiedzieli, czy śmiać się, czy płakać, bo żal im było bardzo Wujaszka i bali się, czy on się nie zabił.

Nareszcie zaczęli wołać ratunku. Przyszedł Wojciech służący i wyciągnął Wujaszka z pomiędzy beczek. Wujaszek był taki podrapany i powalany, że aż strach było patrzeć na niego. Ale mimo to rzekł:

— To nic, przypadki chodzą po ludziach, pójdźmy do pokoju, bo mię bardzo ręka i noga boli, ale jak się wygoję, to wrócimy do piwnicy i dopiero zobaczycie, co ja umiem.

Dzieci poszły za nim do pokoju, same nie wiedząc, co myśleć o tym Wujaszku, ale czując, że coraz mniejsze mają dla niego uszanowanie.

Malutka Kazia.

— Mamo, Mamo, Kazia wypadnie z kołyski! niech Mama idzie prędziutko ją zatrzymać, bo ja nie potrafię — tak wołała Marynia, starsza siostrzyczka malutkiej Kazi.

Mama przybiegła zaraz, chwyciła dziecinę, która się podniosła i wychylała z kolebeczki nieostroźnie, bo jeszcze nie rozumiała, że tym sposobem może upaść i potłuc się strasznie.

Mała Kazia zaczęła się mazać, wyrwać, chciała koniecznie sięgnąć rączką do biegunów swojej kolebki, zdawało jej się zapewne, że to będzie śliczna zabawa. Ale Mama trzymała ją mocno, nie zważając na płacz i grymasy, w końcu więc dziecina przekonała się, że uporem nic nie wskóra, położyła się, Mama ją pokoiysała i zaśpiewała półgłosem ładną piosenkę, a Kazia usnęła znowu po chwili.

Marynia siedziała cichutko, nie przeszkadzała Mamie, bo była bardzo grzeczna i kochała niezmiernie małą siostrzyczkę. Mama, ukołysawszy Kazię, zawołała Maryni i tak do niej mówiła:

— Widziałas, Maryniu, jak to Kazia koniecznie chciała wypaść z kołyski i potłuc się. Czy ja dobrze zrobiłam, że ją powstrzymałam gwałtem?

— O Mamo, jak też Mama może o to pytać? — mówiła śmiejąc się Marynia. — Ona taka malutka, że nic jeszcze nie rozumie i zabiłaby się, żeby jej nie pilnować. Czy i ja tak robiłam, Mateczko, jak byłam taka mała?

— Tak samo — rzekła Mama — nieraz byłabyś spadła z kolebki lub ze stołu i zabiła się, gdybym cię była nie wstrzymała. Teraz mi pewno za to jesteś wdzięczna, nieprawdaż? a wtenczas płakałaś tak samo, jak Kazia.

— O Mateczko, te małe dzieci takie są nierozsądne — rzekła Marynia, śmiejąc się i całując rączkę dobrej Mamy.

— Ale i teraz, moje dziecie, — mówiła dalej Mama — chociaż jesteś już starsza, i dobra, grzeczna z ciebie dziewczynka, czasem jednak zachciewa ci się takich rzeczy, które ci mogą zaszkodzić, bo nie rozumiesz tego. Ale ja, widząc dobrze, co jest dla ciebie dobre, a co złe, nie mogę ci na wszystko pozwalać i gdybyś się chciała koniecznie upieścić przy swoim, muszę cię nawet zmuszać do posłuszeństwa dla własnego twojego dobra. Wszak sama to dobrze rozumiesz, kochanko, że wstrzymałam gwałtem Kaziunię w kołysce, aby się nie potłukła. Pamiętajże, ile razy ci się czegoś bardzo będzie zachciewało, a ja na to uie pozwolę, pomyśl sobie zaraz: Mama mnie kocha tak samo, jak Kazię, wie, że toby mi zaszkodziło, i dla tego nie pozwala. Jak będę starsza, zrozumieć to pewnie i podziękuję Mamie.

Marynia była roztropna dziewczynka, zrozumiała dobrze to, co Mama mówiła, a ile razy potem miała ochotę być troszkę nieposłuszną, zaraz sobie przypominała, jak to Kaziunia chciała wypaść z kołyski i zawsze słuchała Mamy odrazu, nie pytając nawet, dla czego ona nie pozwala na to lub owo.

M. J. Z.

Podróż Adasia i Zosi do gorących krajów.

(Dalszy ciąg.)

— Jak to szczęśliwie, żeście się wybrali w tę podróż w zimie, w Grudniu — powiedział Tatko — bo wam gorąco zbyt nie dokucza. Teraz tu jest dosyć znośnie, w lecie dzieci mogłyby ucierpieć od upału, a tak powoli przyzwyczajają się do tutejszego klimatu.

— Co też Tatko mówi — rzekła Zosia — albowiem to jest zima?

— Czyż nie pamiętasz, jak było zimno, gdyśmy wyjeżdżali z Topolówki? — zapytała Mama — przecież zaledwo miesiąc upłynął od tej pory, zima nie mogła się skończyć tak prędko; u nas muszą być ogromne mrozy, za kilka dni będzie przecież Boże Narodzenie.

— Boże Narodzenie! — wykrzyknął Adaś — jakże to może być, żeby w takie gorąco było Boże Narodzenie?

— Pewnie może być, skoro Mama tak mówi — odrzekła rozsądna Zosia. — Ale, Mamuniu, czy będziemy mieli choinkę na wigilię?

— Nie prędko, drogie dzieci, obaczycie choinkę, bo tu nie rosną sosnowe drzewa — odrzekła Mama i mówiąc to westchnęła; musiała sobie przypomnieć duży las sosnowy, tuż za wioską, gdzie mieszkała z dziećmi i gdzie często chodziła z nimi na przechadzkę.

— Niema sosny — odezwał się Tatko, który także troszkę posmutniał i westchnął — ale są inne drzewa bardzo piękne i ja urządzę dla mojej dziatwy drzewko na Boże Narodzenie.

— A ja przywiozłam z sobą opłatki — powiedziała Mama — przyrządzimy sobie wicherę na wigilię.

— A co! — zawołał Tatko już zupełnie wesoło — zasiądziemy wszyscy razem do

stołu, i będzie nam dobrze. Ale otóż i nasze mieszkanie.

Bungalow, dom, gdzie mieli nocować, bardzo się dzieciom podobał. Ściany w nim nie były wcale murowane, tylko wyplatane z czegoś, jakby koszyk jaki, we środku obite miękkimi matami, z delikatnych włókien, tak samo była wyścielona cała podłoga. Ściemniło się już tymczasem i dzieciom oczki się do snu kleić zaczynały. Mama zaprowadziła je do słodkiej małej izdebki i zobaczyły tam dzieci bardzo dziwnie urządzone łóżeczka. U góry było coś podobnego do baldachinu, po bokach spuszczał się naokoło gęsty muślin i okrywał tak szczelnie łóżeczko, jak pudełko.

— Mamuniu, czy ja tam we środku będę spała? — zapytała Zosia zdziwiona.

— Pocóż to, moja Mamo — pytał znów Adaś — toż tu w pokoju niema żadnego wiatru, do czegoż te namiotki przy łóżkach?

— Bo tu w gorącym kraju mnóstwo jest dokuczliwych much i komarów — rzekła Mama — nie dałyby wam usnąć spokojnie, są także i różne większe owady niebezpieczne, ale nie obawiajcie się, najdrobniejsza muszka nie dostanie się do was przez tę gęstą zasłonę.

— O, jaki Tatko dobry, że nam takie wyborne łóżeczka przygotował — mówił Adaś — a czy i Mama będzie miała na noc taką zasłonkę?

— Tu zaraz w drugim pokoju jest także samo łóżko i dla mnie — odpowiedziała Mama — tu taki zwyczaj i wszyscy tak śpią, bo inaczej trudno byłoby wytrzymać z nieznośnymi muchami.

Dzieci spały wybornie tej nocy, a gdy się przebudziły, ujrzały przez muślin swoich namiotków, że już dzień biały, usłyszały z drugiego pokoju przyciszone głosy rodziców, którzy chodzili na palcach i rozmawiali cichutko, ażeby im snu nie przerywać. Dzieci zaczęły sobie oczy przecierać i przypominać wszystko, co się stało wczoraj.

— Zosiu, Zosiu, wstawaj! — wołał Adaś — ty może zapomniałaś, że my już przyjechalśmy do Indyj, do Tatki i będziemy z Tatką mieszkali.

— Nie, nie, nie zapomniałam! — odparła Zosia — jakem się przebudziła, sama nie wiedziałam, czy to mi się śni, czy to tak naprawdę. Ale jak spojrzałam na ten namiotik... A czy ty słyszysz, Adasiu, jak muchy

czy komary okropnie brzęczą w pokoju? tożby one nas były skąsały!

Mama nadeszła zaraz, jak usłyszała tę rozmowę, odsłoniła namiociki, umyła dzieci, ubrała i uczesała, potem poszli razem do Tatki, ażeby mu powiedzieć dzień dobry. Dobry ten Tatko nie mógł się nacieszyć ukochanymi swojemi dziećmi, ciągle je pieścił, całował, nosił po rękach, i powtarzał, że teraz już nigdy się z niemi nie rozstanie.

Mama przygotowała śniadanie; było mleczko, wyborne jakieś placuszki ryżowe, które Ojciec z sobą przywiózł, ale Zosi zachciewało się kokosowego mleka, ciągle przypominała, że Mama jeszcze na okręcie objęcała dać im do pokosztowania tego przysmaku na Cejlonie. Tatko wybiegł natychmiast, a gdy powrócił, niosąc kilka ogromnych kokosowych orzechów, Mama powiedziała, że chce chyba popsuć dzieci takim dogadzaniem i nauczyć je kaprysów. Ale Mama uśmiechała się, mówiąc to, żartem tylko, bo wiedziała dobrze, iż dobre te dzieci popsuć się tak łatwo nie mogą.

Tatko otworzył jeden orzech ostrym nożem, i wylał w filiżankę biały sok, bardzo do migdałowego podobny; Zosia chwyciła filiżankę, i piła z wielkim smakiem, potem dała się napić Adasiowi kokosowego mleczka. I jemu także ten przyjemny, orzeźwiający napój bardzo smakował.

Po śniadaniu Ojciec powiedział, że im musi koniecznie pokazać różne osocliwości Cejlonu, więc zaraz wybrali się wszyscy na wycieczkę.

Dzieci myślały, że zajedzie powóz, albo bryczka, ale jakże się zdziwiły, gdy obaczyły czém miały jechać. Przed domem stały dwa palankiny; Ojciec im powiedział, że to się tak nazywa. Wyglądało to zupełnie, jak duże pudło bez nakrywy osadzone na mocnym kiju, który przechodził przez środek i z obu stron się przedłużał. Palankiny te nieśli na ramionach tragarze kuso odziani, w białych zawojach na głowie. Byli to Indyanie o twarzach ciemnych, ciemniejszych niż u Cyganów. Mama powiedziała dzieciom, że i Cyganie przybyli kiedyś bardzo dawno z Indyj do Europy i dla tego taką mają ciemną cerę.

Mama wsiadła z Adasiem do jednego palankinu, Ojciec z Zosią do drugiego, a tragarze pochwycili je, opierając kije na barkach i ponieśli żwawo. Mama trzymała nad głową ogromny parasol, okrywając nim i siebie

i Adasia od upału; takiż sam parasol miał i Ojciec, osłonił też nim starannie swoją małą pieszczoszkę. Wszyscy mogli z sobą rozmawiać po drodze, bo tragarze nieśli oba palankiny jeden przy drugim.

— Jak to dobrze — rzekł Tatko — żeście przybyli tu w Grudniu, bo niema jeszcze wielkich upałów i powoli się przyzwyczaić do zmiany klimatu. W letnich miesiącach jest gorąco do niewytrzymania. (D. c. n.)

GRA W ZAGADKI.

Jedna osoba wychodzi z pokoju, a pozostałe umawiają się tymczasem o jakikolwiek rzeczownik, który ona ma odgadnąć z dziecięciu pytań, lub więcej, wedle umowy. Zgadujący powraca i pyta: np. Czy to co mam odganąć może mówić? — Do czego służy? — Jak wygląda? itp. jak się pytającemu spodoba. Zapytany odpowiada, każdy na jedno tylko pytanie, a powinien odpowiedzieć trafnie, lecz da fant i pójdzie zgadywać, jeżeli z jego odpowiedzi zagadka odgadniętą zostanie. Zgadujący, jeżeli z oznaczonej liczby pytań nie odgadnie zagadki, daje fant, i nową zgaduje, jeżeli go kto dobrowolnie nie wyręczy.

Szarada. (Gabryel T.)

Pierwsze i trzecie —

Do gry służą na całym świecie.

Drugie, dziateczki powtarzają małe,

A wszystko — wspaniałe!

Lamigłówka w kwadraciku. (G. T.)

W kwadraciku z 16 podziałek ułożyć: 6A—1G—2K—2O—4R—1W— ażeby utworzyć w obu kierunkach: 1. Część drzewa. 2. Rodzaj psa. 3. Miasto w Polsce. 4. Trunek.

Rozwiązania do Nr. 7-go.

Zagadki:

P O.

Lamigłówki w kwadraciku:

L I S

I D A

S A S